

**Marta
Falkowska**

"Żuławska dePRESJA"

„Małgosia Lipska wciskała głowę w dziurę w ścianie, czym stwarzała śmiertelne niebezpieczeństwo dla konstrukcji ściany.....” (fragment notatki służbowej sporządzonej przez aspiranta Policji Blokowej)

Rozdział I

Boże, kto dzwoni niemal w środku nocy (spojrzałam na zegar, dochodziła piąta rano). Głos telefonu rozbrzmiewał na cały dom.

- Muszę w końcu zmienić ten sygnał – pomyślałam. – Halo, słucham – sapnęłam do słuchawki, którą jak zawsze zostawiłam w mojej pracowni na strychu. Schody do bezpiecznych nie należą. Stolarz ciągle zawala z robotą. Niepotrzebnie dałam mu dwie butelki wiśniówki cioci Walerki.

- Dzień dobry, czy rozmawiam z panią Małgorzatą Lipską?

- Tak, Małgorzata Lipska, słucham?

- Czy ma pani rodzinę w Małym Mieście?

- Tak, mam. Ale o co chodzi? Skąd pani dzwoni? - Zaczęłam się niecierpliwić. Jakaś firma ubezpieczeniowa, czy co, ale o tej porze, nie to niemożliwe - przemknęło mi przez głowę.

- Proszę pani ja dzwonię z miejskiego szpitala w Małym Mieście, Anna Cz., kardiolog...

Przerwałam jej w pół słowa.

- Ciocia, ciocia Waleria? Tak, co z nią? Ostatnio skarżyła się na ból serca.

Tym razem pani doktor nie pozwoliła mi skończyć.

- Pani Małgorzato, bardzo mi przykro, pani ciocia zmarła dziś w nocy w szpitalu.

- Jak to zmarła, jak to zmarła??? - Przecież jeszcze wczoraj rano z nią rozmawiałam przez telefon. Na weekend miałam ją zabrać do mnie na wieś. Jak to zmarła. Pani doktor to niemożliwe !!! - Niemal krzyczałam do telefonu.

- Ciocia zasłała w domu późnym popołudniem, ukropy tego lata są naprawdę nie do zniesienia. Szczególnie dla starszych osób, lekarz pogotowia powiedział mi, że ciocia mieszka, mieszkała... na dziesiątym piętrze. Myślę, że ten upał mógł być przyczyną zawału. Naprawdę nic nie mogliśmy zrobić. Pani Małgorzato, wypisałam już kartę zgonu. Proszę powiadomić zakład pogrzebowy, aby odebrał ciało – dodała.

- Czy może to pani zrobić? Ja jestem ponad dwieście kilometrów od Małego Miasta – mówiłam przez łzy.

- Dobrze, a do jakiego zakładu? - Nie chciałam podejmować za panią decyzji – sprecyzowała.

- Do najbliższego, już jadę - krzyknęłam i przerwałam połączenie.

Usiadłam bezwładnie na podłodze. Ciocia Walercia, siostra mojej mamy, urodzona optymistka, przeżyła Auschwitz, socjalistyczne podmuchy studenckie, związki chemiczne (była farmaceutką), śmierć ukochanego męża (wuj zmarł, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie). Przeżyła poczęcie mnie za pomocą metody in vitro (była temu absolutnie przeciwna) i pokochała całym sercem. Z opowiadań mojej mamy wiem, że gdy pierwszy raz wzięła mnie na ręce w szpitalu, szepnęła przepraszam i od tamtej pory stałam się całym jej światem. Często zastanawialiśmy się, kogo ciocia Walercia wówczas przepraszała, mamę, mnie, czy może samą siebie. Było to już jednak bez znaczenia. Kilka lat temu przeżyliśmy śmierć moich rodziców, a teraz ot tak po prostu umarła.

- Nie!!! Nie zgadzam się. Panie Boże słyszysz??? Nie zgadzam się – krzyczałam. I chyba dopiero do mnie dotarło, że to prawda, że moja ukochana, jedyna ciocia Walerka nie żyje.
Rzuciłam się na podłogę i rozryczałam jak dziecko.

Sierpień był przepiękny. Pędziłam jak szalona. Co chwilę ograniczenia prędkości, a ja nie zważając na nic, pędziłam ponad setkę. To, że moja stara skoda nabiera jeszcze takich prędkości, to niemal cud. Było dobrze po 14.00, temperatura jak na koniec sierpnia zadziwiająca. Zerknęłam na telefon, 28 °C .
Na zewnątrz 28 °C, a w moim sercu chłód. Każda śmierć niesie coś nowego. Ten kto odchodzi, odchodzi tam, gdzie żywy nie dotarł nikt. Żywy płacze za zmarłym, płacze za spędzonymi i niespędzonymi chwilami, za jego obrazem, za tembrem głosu, którego nie usłyszy już nigdy (żaden sprzęt nie odda prawdziwości drgań strun głosowych). Kto jest na wygranym? Zmarły, że wreszcie ucieka od żywych? Żywy, że jeszcze nie pozna, tego co jest po?

Ja czułam się przegrana. Ciocia Walerka była jedyną, żyjącą bliską mi rodziną. Moi rodzice zmarli kilka lat temu. Mamę porwał rak, a tatę porwała tęsknota za mamą. I tak oto w ciągu zaledwie kilku lat zostałam bez rodziny. Chociaż jest Norbert. Jest czy był?...

Dzwonek telefonu wybił mnie z natłoku myśli.

- Witam panią, nazywam się Andrzej Zapala, dzwonię z zakładu pogrzebowego „Pod szczęśliwym dębem”, czy rozmawiam z panią Małgorzatą Lipską?
- Tak, to ja.
- Proszę pani, dzwoniła do mnie pani doktor ze szpitala z prośbą, abym na pani zlecenie zajął się pani zmarłą ciocią Waldemara. Odebrałem już kartę zgonu i ciało pani cioci.
- Walerii, cioci Walerii – szepnęłam do słuchawki.
- A tak przepraszam. Na kiedy zaplanowany jest pogrzeb? Pytam, aby wiedzieć na kiedy przygotować ciało do pochówku.
- Proszę pana, ja dopiero jadę do Małego Miasta i nic jeszcze nie wiem, nie mam nawet aktu zgonu - tym razem się rozdarłam.
- Ależ ja panią rozumiem. Pozostałe sprawy ustalimy na miejscu. Pytam tylko, czy ma pani jakieś życzenia, co do makijażu, fryzury.

Tego już nie wytrzymałam, przerwałam mu w pół zdania.

- Panie, ja właśnie straciłam ukochaną mi osobę, a pan mnie pyta o fryzurę?! Jeszcze uszy cioci przebijcie, bo za życia nigdy by się na to nie zdecydowała – darłam się na cały głos.

Przerwałam rozmowę, wyłączyłam telefon. Zatrzymałam się na jakimś parkingu w środku lasu. Zaczęłam nerwowo szarpać szufladę w aucie. Przecież Norbert zawsze zostawiał kilka w zanadrzu. Rzuciliśmy jakiś czas temu, ale w

trudnych chwilach pozwalaliśmy sobie na tę, nazwijmy to, odrobinę przyjemności. Teraz nadeszła ta chwila, ta cholernie trudna chwila. Uff... jest, jeden, jedyny, ostatni. Owo zanadrze. Zapaliłam, zaciągnęłam się tak, że niemal zabrakło mi tchu.

- Spokój Lipska, spokój, powoli, nie wariuj – gadałam sama do siebie.

Ciocia patrzy. Uśmiechnęłam się na tę myśl.

- Ciociu widzisz mnie? - Zerknęłam w niebo - widzisz mnie?

I rozdarłam się na cały las. Już dobrze, już dobrze. Wybrałam ostatnie połączenie.

- Halo, to jeszcze raz ja, Małgorzata Lipska. Przepraszam pana za ten mój wybuch gniewu – starałam się załagodzić sytuację.

- Rozumiem, proszę mi wierzyć, że niejeden taki wybuch mam za sobą - odrzekł właściciel zakładu pogrzebowego. - Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. O której godzinie może pani do nas dotrzeć, aby podpisać formalności? - Spytał.

- Będę za jakieś pół godziny.

- Dobrze, zatem czekam na panią. Nasz zakład znajduje się zaraz koło szpitala.

Znajdzie nas pani, jest taki duży baner:

Zakład Pogrzebowy „Pod szczęśliwym dębem”.

Do zobaczenia.

Znowu wyłączyłam telefon. Nie miałam siły rozmawiać z kimkolwiek. Po włączeniu telefonu, zaraz bombardowała mnie zakładka nieodebrane. Ale dziś nie ma mnie dla nikogo. Mam nadzieję, że moi przyjaciele i moi klienci to zrozumieją.

- Co to w ogóle za nazwa „Pod szczęśliwym dębem” ? - Znowu gadałam sama ze sobą.

Gdybym wtedy wiedziała, że już wkrótce stanie się to moją codziennością, pewnie postąpiłabym inaczej. Cóż, gdybym, gdybym, gdybym. Nie wiedziałam...

Zaraz, zaraz. Ciocia przecież tak kochała dęby. Była zresztą tak silna jak te piękne drzewa. Jak bardzo za nimi tęskniła w wielkomiejskim zgiełku, wiedziała tylko ona. Łzy znowu spłynęły po moich policzkach. Tak jak dawno temu, kiedy wraz z ciocią Walercią robiłyśmy ludziki z żołądzi zebranych w parku. Park znajdował się blisko cioci bloku.

- Dlaczego wtedy płakałam? - Próbowałam sięgnąć w najgłębsze zakamarki hipokampa*.

A już wiem. Konikowi (zrobionemu z żołądzi) złamała się noga. Dla cioci nie było jednak spraw nie do rozwiązania. Otworzyła starą szufladę w swojej przepięknej komodzie i wyjęła patyczki trochę przypominające dzisiejsze wykałaczki. Jednak tamte patyczki miały w sobie coś, co absolutnie odróżniało je od tych zwykłych, dzisiejszych. Dębowe patyczki...

- Tak, kochana ciociu, pożegnamy się „Pod szczęśliwym dębem” i odtąd właśnie tam będziemy się spotykać. Przy rodzinnym grobie. Niedaleko jest i dąb, i buk. - Tak ciociu, tam będzie ci dobrze. Wreszcie z dala od tłumu i hałasu. Wreszcie nie będziesz musiała korzystać z tej zdezelowanej windy w tym nie mniej zdezelowanym dziesięciopiętrowym bloku.

- Z wujkiem, z rodzicami będzie ci różnie, prawda? - znów zerknęłam w niebo i uśmiechnęłam się. - Niedaleko dąb, buk i Bóg. W tym sąsiedztwie będzie ci dobrze. Mam mętlik w głowie, ale tego jednego jestem pewna, tam będziesz szczęśliwa.

Tablica z napisem Małe Miasto przerwała tok wspomnień.

- Zaraz, zaraz? Do szpitala, a w prawo - skręciłam niemal na czerwonym.

Jest zakład. Zamknęłam auto i weszłam do środka. Po raz ostatni weszłam zobaczyć moją ukochaną ciocię Walerkę. Weszłam po raz ostatni spojrzeć w jej martwe oczy i powiedzieć, jak bardzo ją kocham, kochałam? Kocham, tak kocham.

- Witam panią, pani to zapewne Małgorzata Lipska? - Pan, z którym rozmawiałam przez telefon podał mi rękę.

- Tak to ja (ujął mnie tym witam, w tym miejscu słowo dzień dobry, rzeczywiście nie jest odpowiednią formą przywitania, tu się przecież żegna) - uściśniłam jego dłoń z całych sił.

- Andrzej Zapała, proszę niech pani usiądzie. Życzy pani sobie coś do picia? - Zapytał.

- Nalewki z wiśni cioci Walerki z pewnością pan nie ma – uśmiechnęłam się na siłę - jeśli mogę to poproszę o szklanek wody.

Pan spojrzał na mnie takim ciepłym wzrokiem, że aż zrobiło mi się jakoś lżej na sercu. Tak, w tym miejscu to odpowiednia osoba.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, jak ważny jest wybór zawodu. Mnie niejako zawód wybrał sam. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, iż od zawsze (od urodzenia) siedziałam przy kredkach, pędzlach płaskich, okrągłych, węglach, ołówkach, papierach, płótnach, deskach itp. akcesoriach niezbędnych do opisywania świata poprzez obraz. W przedszkolu wygrałam jakiś ogólnopolski konkurs na rysunek „Moja mała ojczyzna”, czy jakoś tak. Na kartce A 4 węglem naszkicowałam widok z mojego okna i wygrałam. Sama byłam zdziwiona. Komisję jednak ujął widok pól, łąk i lasów wykonany czarnym węglem. Pamiętam jak mama dumna powtarzała, że jakiś tam znany malarz stwierdził, że jeszcze nigdy nie był w tak pięknym miejscu. Ponoć w tej czerni uchwyciłam wszystkie kolory przyrody.

Koleją rzeczy ukończyłam Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku. Zaproponowano mi nawet, abym pozostała na uczelni. Odmówiłam. Ja miałam już zupełnie inny pomysł na życie. Odmówiłam jednak również z innych przyczyn. Podobnie jak ciocia Walercia cierpiałam na coś, co mądrzy medycy określają jako agorafobia. Agora... rynek w miastach starożytnej Grecji może i nie przeraziłby mnie

tak, jak np. stadion dziesięciolecia w Warszawie. Szczerze mówiąc nigdy nawet nie odważyłam się tam pójść. Po co kusić los, po co?

Ciocia jednak zaryzykowała i dla miłości opuściła rodzinną miejscowość. Starła się o tym nie mówić, ale wiem, że w mieście na tym dziesiątym piętrze trzymały ją tylko wspomnienia pięknej miłości. Ach! Wuj Ildefons wart był tych wspomnień. Pamiętam jego zdjęcie z salonu cioci. Wysoki, szpakowaty z wąsikami wyglądał niczym David Niven grający Edgara Lintona w „Wichrowych wzgórzach”. Ubrany w czarną suknię z zielonym kołnierzem. Przystojny jak mało kto. Boże, jak ciocia się śmiała, kiedy jako kilkuletnia dziewczynka zapytałam ją, czy wuj był księdzem. Dowiedziałam się wtedy, że owa suknia nazywa się toga, a ów kołnierz to żabot. Wuj był adwokatem, więc nosił zielony. Tyleż mnie wtedy obchodziło, co nic. Nic a nic.

Gdybym wtedy wiedziała, że kiedyś w dorosłym już życiu tak bardzo wuj będzie mi potrzebny, pewnie wcześniej zainteresowałabym się księgozbiorem wuja. Cóż, gdybym, gdybym, gdybym. Nie wiedziałam...

- Pani Małgorzato – przepraszam, muszę zamknąć zakład. Ktoś delikatnie dotykał mojego ramienia. - Odwiozę panią do domu i wszelkie formalności załatwimy jutro.

- O Boże, gdzie ja jestem? - Stałam na nogi w jednej chwili. - Przepraszam to chyba ze zmęczenia. - Jak długo spałam? - Zapytałam zawstydzona.

- Ponad dwie godziny. To normalne, to był dla pani naprawdę ciężki dzień. - Ma pani gdzie spać, czy podwieźć panią do hotelu?

- Nie, nie, dziękuję, mam klucze do mieszkania cioci. - Pójdę już, przyjadę z samego rana i dokończymy formalności. Jeszcze raz dziękuję za pomoc - podałam mężczyźnie dłoń.

- Dobrze, do jutra, ale czy jest pani w stanie prowadzić samochód?

Nie słyszałam już końca pytania. Usiadłam za kółkiem i ruszyłam do krainy wspomnień, mieszkania cioci Walerci. Mieszkania, które było dla niej wszystkim. Czterdzieści lat życia zamknęło się w tych trzech pokojach na dziesiątym piętrze. Wuj pochodził z Warszawy, po ukończeniu studiów otrzymał propozycję pracy właśnie w Małym Mieście. Byli już małżeństwem (poznali się na studiach), zatem tę decyzję podjęli, można rzec, oboje. Decyzję o kupnie mieszkania na dziesiątym piętrze wuj podjął sam.

„Kochanie przynajmniej będziemy mogli patrzeć na to wszystko z góry” - powiedział wuj i tym chyba ciocię przekonał.

Co miał na myśli mówiąc „to wszystko” mogę się jedynie domyślać.

Kiedy ciocia przeszła na emeryturę namawiałam ją, aby zostawiła to cholerne dziesiąte piętro i zamieszkała u mnie (u nas...) w Parparach. Tu znajduje się dom moich rodziców. Nie, teraz to ja jestem prawnym właścicielem, ciocia zrzekła się swojej części na moją rzecz.

Boże dlaczego nie zabrałam jej z tego p...o Miastka do siebie. Tego chyba nie

wybaczę sobie już nigdy.

Smród windy zawsze mnie odpychał. Tego wieczoru jednak nie czułam nic. Czułam tylko strach, że zaraz znajdę się w cioci salonie i... i rozryczałam się na dobre.

- Małgosiu, Małgosiu, co teraz będzie? - nim zamknęły się za mną drzwi windy, pani Stefania wybiegła z mieszkania. - Widziałam, jak podjechałaś pod blok. Czekałam na ciebie – mówiła zapłakany głosem.

Przytuliłam ją mocno. Wiedziałam, że na tym piętrze jedyną osobą, która cokolwiek mogła zrobić była moja ciocia. Jakiegokolwiek pisma ze wspólnoty blokowej, wezwania do uiszczenia należności za prąd, gaz, telefon itp. papierologia były dla pani Stefanii nie do ogarnięcia. Od kiedy pamiętam nad tym wszystkim czuwała ciocia Walerka. Pani Stefania cierpiała na demencję starczą, a trzeci sąsiad, pan Jerzy...

Cóż, pan Jerzy choć sprawny na umyśle, po operacji bioder prawie nie wychodził z domu. Nie, nie prawie. On w ogóle nie wychodził z domu. Owszem poruszał się o kulach, ale z ogromnym trudem. Co dwa dni zaglądał do niego syn. Przynosił zakupy, ogarniał mieszkanie i jadł z ojcem obiad. Pan Jerzy to świetny kucharz. Naprawdę nie raz miałam okazję poznać jego kulinarne umiejętności. Z zawodu dekarz, z zamiłowania kucharz. I chyba właśnie ta miłość do kuchni trzymała go przy życiu. A że miał dla kogo gotować, to i motywacja tym większa.

- Pani Stefanio - zwróciłam się do niej najcieplej jak umiałam. - Idę już spać, jestem bardzo zmęczona. Jutro zajmę się organizowaniem pogrzebu. Po południu zajrzę do pani i pomyślimy, co dalej. - Teraz proszę położyć się spać. - Spokojnego snu pani życzę.

- Dziękuję kochana, jak dobrze, że jesteś, ciocia czeka, pewnie coś pysznego pichci...- odparła.

I to właśnie była pani Stefania.

- Witam panią, jak minęła noc, spała pani choć trochę? - zapytał pracownik zakładu pogrzebowego, do którego pojechałam z samego rana.

- Witam panie Andrzeju, zasnęłam nad ranem – odpowiedziałam i wyciągnęłam do niego rękę starając się być bardziej delikatna niż wczoraj.

- Proszę, niech pani usiądzie, a ja zaparzę kawę. - Życzy pani sobie czarną, czy ze śmietanką?

- Poproszę czarną, może postawi mnie na nogi.

Pan Andrzej poszedł zaparzyć kawę, a ja rozejrzałam się po zakładzie. Miałam wrażenie, że jestem tu pierwszy raz. W jakim ja musiałam być wczoraj stanie, że w ogóle nie pamiętam tego miejsca. Na ścianie wisiały reprodukcje słoneczników Vincentego van Gogha.

Martwa natura: wazon z piętnastoma słonecznikami.

- Boże, to dzieje się naprawdę, za tymi drzwiami leży moja ukochana ciocia Walerka. To jest k...a prawdziwa martwa natura...

Otworzyłam drzwi, jedno, drugie, kolejne. Na ostatnich wisiała tabliczka z napisem: "Całodobowa eksportacja ciała." Chwyciłam za klamkę. Zamknięte.

- Pani Małgosiu – usłyszałam za plecami głos pana Andrzeja. Delikatnie chwycił mnie za ramię.

- Pani Małgosiu, kawa czeka, pani Małgosiu – (powtórzył z wyraźnym akcentem zmiękczenia imienia Małgorzata) nie jest pani na to jeszcze gotowa.

- A kiedy będę gotowa? - Kiedy? Jutro? Pojutrze? Czy raczej za wieczne nigdy? Pan, pan jest gotowy na śmierć? - spytał mając już łzy na czubku nosa.

- Tak, tak, pani Małgosiu – mogę się tak do pani zwracać? - Spytał tym swoim ciepłym głosem.

- Tak, może pan.

- Pani Małgosiu, pracując tyle lat w takim miejscu, przygotowałem się na śmierć.- Może inaczej – zastanawiał się chwilę – zrozumiałem, co to znaczy odejść.

- Widzę tu sporo reprodukcji van Gogha – nie chciałam już mówić o śmierci, przynajmniej przez chwilę, zmieniłam temat. - To pana ulubiony malarz?

- Czy ulubiony? Trudno powiedzieć, ale akurat obrazy przedstawiające kwiaty lubię. Wie pani, pani Małgosiu, ja na sztuce za bardzo się nie znam. Patrząc na te żywe kolory po prostu się uspokajam.

- Widział pan inne obrazy van Gogha? - spytałam szczęśliwa, że znowu uciekłam od tematu śmierci.

- Tak, sporo jego autoportretów – odparł. - Ten z tym odciętym uchem też. Wie pani co, pani Małgosiu (miód na serce to Małgosiu) ja to tak sobie myślę, że ci artyści to mają nie po kolei w głowach. No jak można odciąć sobie ucho. To chyba tylko jakiś zawirowany malarz potrafi. Nie sądzi pani, pani Małgosiu? - A pani właściwie czym się zajmuje? - Zapytał.

- Jestem malarką...

Nastąpiła cisza. Ta cisza trwała chyba wieki całe, a może nawet jeszcze dłużej.

Na biurku pana Andrzeja zadzwonił telefon. Odebrał.

- Nie, nie później, teraz! Są sprawy ważne i ważniejsze, a ta jest najważniejsza. Masz natychmiast jechać do urzędu i to załatwić – pan Andrzej krzyczał do kogoś przez telefon. - Nieważne, co było ustalone, masz to zrobić i tyle. Upoważnienie jest w aucie w kieszonce. Robisz to na cito!!! - Krzyczał głosem nieznoszącym sprzeciwu.- Chcę mieć to zaraz na biurku! Tak, trzy egzemplarze. Wyraziłem się jasno?!- Zapytał swojego rozmówcę i odłożył słuchawkę.

- Przepraszam pani Małgosiu, że tak krzyczałem, ale czasami po prostu inaczej się nie da – tłumaczył.

- To pana pracownik? - spytałam szczęśliwa, że czegokolwiek ta rozmowa dotyczyła, przerwała nasze długotrwałe, ciężkie milczenie.

- Tak, chociaż czasami zastanawiam się, po co ja go jeszcze w ogóle trzymam – odrzekł głosem, którym ujął mnie od samego początku – a zresztą nieważne - dodał.

- Wybrała już pani kościół, w którym odbędzie się pogrzeb? - Znowu rzeczowe pytanie.

- Tak, ciocia często chodziła do tego pod wezwaniem Świętego Józefa, zna też proboszcza. Znała – na chwilę zawiesił mi się głos.

- A więc już dzwonię do proboszcza, proszę mi podać termin, jaki pani odpowiada. Dziś mamy środę – dodał jak zawsze rzeczowo.

- Może piątek, ciocia uwielbiała piątki, bo prawie zawsze w piątki zabierałam ją do nas, do mnie (poprawiłam się) na wieś na weekend. Tak piątek to odpowiedni dzień tygodnia. Dzień podróży do ... - Po policzkach spłynęły mi łzy.

Pan Andrzej oparł rękę na moim ramieniu, a mi zrobiło się jakoś lżej. Wszedł na chwilę na zewnątrz i gdzieś dzwonił.

- Piątek godzina 11, kościół pod wezwaniem Świętego Józefa – wszystko już załatwiłem.

- Ale, ale panie Andrzeju, ja nie mam jeszcze aktu zg... (ugrzązł mi głos)

- Ma pani, przecież wczoraj napisała mi pani upoważnienie do odbioru tegoż dokumentu w Urzędzie Stanu Cywilnego. W tej chwili mój pracownik je właśnie odbiera – odparł jak zawsze rzeczowo.

- Boże, co ja bym bez niego zrobiła??? - Zapytałam sama siebie. - Dzięki ciociu, odruchowo spojrzałam w niebo, nie, nie w niebo, w pomalowany sufit na... niebiesko. - Ten człowiek chyba czytał w moich myślach. Niebieski sufit w zakładzie pogrzebowym.

- Pani Małgosiu, pani telefon dzwoni – pan Andrzej wyrwał mnie z zamyślenia.

- Tak, tak, zapomniałam wyłączyć. Przepraszam, muszę odebrać.

Pan Andrzej wszedł na zewnątrz.

Spojrzałam na wpis Kontakt: Henryk Hotele. Dzwonił mój bardzo ważny, o ile nie najważniejszy klient. Można by powiedzieć inspirator mojego pomysłu na życie. Ale o tym może później.

- Witam panie Henryku – starałam się być jak najbardziej spokojna.

- Dzień dobry pani Małgorzato, wczoraj miałem odebrać dwa kolejne, są gotowe? - zapytał. - Byłem wczoraj u pani późnym popołudniem, ale tradycyjnie pan Norbert bez pani obecności nawet pędzelecza mi nie dał, a co dopiero dzieła sztuki.

(Norbert jest w domu... jak to, jak to, dobra zaraz spokój Lipska, powoli!)

- Tak, panie Henryku są gotowe – powiedziałam zgodnie z prawdą – jak ustaliliśmy dwa ścięte i cztery ścięte (nie kończyłam całej nazwy, nie chciałam, aby pan Andrzej usłyszał). Z tymże panie Henryku ja na kilka dni jestem wyjęta z życia -

powiedziałam drżącym głosem.

- Ojej, ja zatem nie w porę, a coś się stało pani Małgorzato? - Zapytał z prawdziwą troską w głosie.

- Problemy rodzinne.

- Rozumiem, rozumiem, o nic więcej nie pytam. Jeszcze dziś prześlę pani pozostałą należność za obrazy. Z pewnością potrzebne są pani teraz pieniądze – dodał. – A i jeśli tylko mogę pani w czymś pomóc, pani Małgorzato, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

- Dziękuję, bardzo dziękuję panie Henryku. Zadzwońię do pana, jak tylko wrócę do domu. Do widzenia.

Sprawdziłam nieodebrane połączenia, kilkanaście: ktoś, ktoś, ktoś, ktoś, Norbert (wczoraj 18.34), ktoś, ktoś, Norbert (wczoraj 23.51), ktoś, ktoś, Norbert (dzisiaj 7.38), kilka e-maili, kilka MMS-ów, kilka SMS-ów:

Norbert wczoraj 18.34

„Co się dzieje. Gdzie Ty jesteś do jasnej cholery????!!!

K. mniam.”

Norbert wczoraj 23.51

„Małgośka to już przestało być zabawne. Jestem w Parparach, a TY??? Nie ma Twojego samochodu. Był pan Henryk po obrazy. Nie dałem mu.

Odezwij się, przepraszam za tamto. K. mniam.”

Norbert dzisiaj 7.38

„Gośka, umieram ze strachu o Ciebie. ODEZWIJ SIĘ!!!

PS NIE PODPISAŁEM TEGO KONTRAKTU!!!

K. mniam”

Nie podpisał. Nie podpisał. Nie podpisał. Spojrzałam w niebieski sufit.

Pierwszy raz od wczoraj szczerze się uśmiechnęłam.

Pierwszy raz od wczoraj pomyślałam, że wszystko będzie dobrze.

Pierwszy raz od odebrania telefonu ze szpitala poczułam w sobie tę siłę, za którą podziwiali mnie moi najbliżsi.

Pierwszy raz od wczoraj poczułam, że śmierć to tylko przystanek w długiej wędrówce dusz.

A ja przecież wierzyłam w wędrówkę dusz.

- Gdzie jesteś teraz ciociu? Hmm.. może z wujkiem i z moimi rodzicami pijecie twoją wiśniówkę w rajskim ogrodzie, jak kiedyś mieliście to w zwyczaju w Parparach. - Tak, tam jesteście, prawda? Cisza.

Z tej ciszy wyrwał mnie znowu pan Andrzej.

- Pani Małgosiu, musimy jeszcze wybrać strój dla cioci Walerii – znowu konkret w ustach pana Andrzeja sprowadził mnie na ziemię. - Myślałem o jakiejś

klasycznej garsonce, kolor może granat? Jakies delikatne dodatki? Jak pani uważa? Pani Małgosiu? A może woli pani sama ubrać ciocię?

- Momencik, panie Andrzeju, momencik. Ja tylko wyślę wiadomość do przyjaciół, dobrze? - spojrzałam w jego ciepłe oczy i wstałam, żeby wyjść na zewnątrz.
- Proszę nie wychodzić, proszę spokojnie wysłać wiadomość, ja wyjdę.
- Boże, co to za kulturalny facet – pomyślałam.

Chwyciłam telefon. Wybrałam opcję Napisz wiadomość i szybkim ruchem jednej ręki wystukałam:

„Norbert żyję, jestem w Małym Mieście u cioci. Zadzwoń wieczorem. K.”
Wiadomość wysłana.

Szybko wyłączyłam telefon. Norbert z pewnością, jak tylko odbierze SMS-a natychmiast zacznie do mnie dzwonić. Specjalnie nie napisałam mniam. On już dobrze wie, co to znaczy. On już dobrze wie, o co chodzi. Od ponad trzech miesięcy żyłam w strachu, że pojedzie na ten kontrakt do Peru. Malinowskiego* mu się zamarzyło poprawiać. Oceanem Spokojnym pooddychać mu się zachciało. Mój ukochany mgr inż. budowy dróg i mostów całkiem oszalał, jak zaproponowano mu ten kontrakt. Już ja mu powiem gdzie ma te drogi i mosty budować. Jesienią i zimą grzęźnie na leśnych drogach blisko mojego (naszego) domu i klnie jak szewc. No właśnie, szewc bez butów chodzi. Niech póki co polskie drogi i mosty buduje. Już ja mu wszystko wygarnę. Ależ mnie korciło, żeby włączyć telefon i usłyszeć jego głos.

„Są sprawy ważne, ważniejsze i najważniejsze”- przypomniały mi się słowa pana Andrzeja, które powiedział do swojego pracownika. Tak, święta prawda panie Andrzeju. Rozejrzałam się dookoła. W biurze go nie było, wyjrzałam na korytarz.

- Panie Andrzeju, gdzie pan jest? - starałam się nie podnosić nadto głosu.
- Już idę, już idę pani Małgosiu – głos dochodził z końca korytarza, zza ostatnich drzwi...

Odruchowo spuściłam wzrok.

- Czy już jestem gotowa? - Nim pomyślałam, powiedziałem to na głos.

Nagle ciepła dłoń chwyciła moją dłoń i wolnym krokiem ruszyliśmy na koniec korytarza.

- Pani Małgosiu jest pani już gotowa – powiedział tym swoim ciepłym głosem i otworzył drzwi z napisem: „Całodobowa eksportacja ciał”.
- Tak jak prosiłem? - zapytał będącego w środku pracownika.
- Tak szefie – odparł.
- Proszę powoli wysunąć panią Walerię i wyjść.
- Tak szefie.

Kiedy pracownik wyszedł, pan Andrzej objął mnie ramieniem i poprowadził na ostatnie spotkanie z ciocią Walerką.

- Ma pani pięć minut pani Małgosiu. Jeśli strój nie będzie się pani podobał, zmienimy.

Wyszedł nie zamykając drzwi.

Ciocia Walerka wyglądała jakby spała. Miała stylowo uczesane włosy, a na sobie przepiękną granatową garsonkę, jasne trzewiki i w takim samym kolorze rękawiczki. W dłoniach trzymała przepiękną żółtą różę.

Dziwne uczucie. Takie miejsce, taka sytuacja, a ja poczułam się tak, jakbym była u siebie na wsi. W pomieszczeniu panował półmrok podobny do tego u mnie, kiedy nadchodzi wieczór.

- Ciociu – szepnęłam i delikatnie dotknęłam jej dłoni w rękawiczce. - Ciociu wszystkim się zajmę. O nic się nie martw. Zajmę się panią Stefanią, panem Jerzym. Wszystkiego dopilnuję – wpół łkałam, wpół się uśmiechałam.

Ciocia wyglądała na taką spokojną, szczęśliwą.

- Księgozbiory wujka, wasze meble, dębowe patyczki, twoje kwiaty, wszystko zabiorę do Parpar. - Mieszkanie wynajmę po kosztach komuś, kto zobowiąże się (tak, tak, umowa tylko na piśmie) zaopiekować panią Stefanią i panem Jerzym. Kotkę Dalę zabiorę do siebie. Jakoś się tam z moim Kacprem dogadają. Tak, tak, wszystko już wiem, mieszkanie notarialnie przepisałaś na mnie (rano znalazłam dokumenty na stole). Wszystkim się zajmę ciociu, bądź spokojna – trajkotałam niemal na akord. Na ostatnie pożegnanie miałam tylko pięć minut.

- Tak, tak, wszystkie ubrania zaniosę naprzeciwko do ośrodka dla bezdomnych, zrobię wszystko tak jak sobie życzysz ciociu. Wszystko mi przecież napisałaś na kartce...

- Jezus Maria!!! - ciociu, ty wiedziałaś, że umrzesz? Ty wiedziałaś, że nie wyjdiesz żywa z tego szpitala? Ty to wszystko wiedzia...

Mój własny krzyk przeraził nawet mnie samą.

Pan Andrzej zjawił się niczym na skinienie palcem. Nic nie powiedział, tylko mocno mnie objął i wyprowadził z ostatniego spotkania z moją ukochaną ciocią Walerką.

- Ona wiedziała, ona wiedziała – szlochałam mu na koszulę. - Ona wiedziała, że odchodzi. - Boże, to moja wina, to wszystko to moja wina – słowa leciały ze mnie

bez ładu i składu. - Dlaczego siłą nie zabrałam jej do tego kardiologa w Zabrze.
Dlaczego???! - Wyszepiałam, bo z tych emocji traciłam głos.

- Pani Małgosiu, to nie jest niczyja wina. - Pan Andrzej próbował mnie uspokoić.
- A kartka w kuchni – westchnęłam raczej niż powiedziałam. - Tam jest wszystko napisane, co mam robić po jej śmierci. Rozumiesz? Rozumie pan? - Ja to dopiero teraz zrozumiałam.

- Rozumiem Małgosiu, wszystko rozumiem.

Spojrzałam mu w oczy, po jego policzkach spływały łzy. Wtuliłam się w niego tak mocno, na ile pozwolił mi jeszcze wykończony organizm. On objął mnie silnymi ramionami i ... zaczęliśmy się całować. Przywarliśmy do siebie tak mocno, jak gdyby to miało być nasze ostatnie pożegnanie. Jezu, tak cudnie nie całował nikt. Jezu, przecież ja nie z nim przyszedłam się pożegnać...

Zakład pogrzebowy „Pod szczęśliwym dębem”, chłodnia, w niej moja ukochana ciocia Walerka, ja w objęciach obcego człowieka... Nie to chyba nie najlepsze miejsce na pocałunek. Ja naprawdę zwariowałam.

Uroczystość pogrzebowa odbyła się w piątek o godzinie 11.00 w kościele pod wezwaniem Św. Józefa. Mimo, iż ciocia wyglądała tak pięknie, dostojnie, nie zgodziłam się na otwarcie trumny. Żółta róża – jak powiedział mi Andrzej (pan Andrzej) w europejskiej kulturze symbolizowała wolność, a w amerykańskiej wschód słońca, czyli czegoś początek. Czego... Nowego życia? Jednak ta świadomość, ta nadzieja, iż coś się kończy, coś się zaczyna, bardzo pomogła mi przeżyć ostatnie dni. Czy tylko to? Hm... Norbertowi nie powiedziałam o śmierci cioci Walerki. Dlaczego? To jest dobre pytanie.

Logicznie rzecz biorąc powinnam właśnie z nim dźwigać trudy losu.

Logicznie rzecz biorąc to w jego ramionach powinnam szukać pocieszenia w tych trudnych chwilach.

Logicznie.

W tych kilku ostatnich dniach moje życie miało w sobie tyle logiki, ile w pytaniu czy najpierw było jajo, czy kura.

Na pogrzebie nie było tłumów. Kilkoro znajomych z cioci dawnej pracy, koleżanki i koledzy z Uniwersytetu Trzeciego Wieku, kilkoro sąsiadów, pan Jerzy z synem (pan Jerzy przyjechał na wózku), pani Stefania i ja. A i oczywiście służbowo Andrzej (pan Andrzej). Po pogrzebie poszliśmy do malutkiej restauracji niedaleko cmentarza na skromny poczęstunek (wszystko zorganizował Andrzej(pan Andrzej)).

Od środy, czyli od dnia kiedy na zawsze pożegnałam moją ciocię Walerkę, kiedy widziałam ją po raz ostatni, kiedy zdradziłam (zdradziłam?...) Norberta, kiedy całowałam się w kostnicy z obcym mężczyzną, coś we mnie pękło. Uświadomiłam

sobie, że w zaledwie kilka dni można dostrzec to, czego nie dostrzegało się nigdy wcześniej.

(Dźwięk nadejścia SMS-a)

Nadawca wiadomości: P. Andrzej Zakł. Pog.

Treść wiadomości:

„Fakturę za usługę przesłałem Tobie, Małgosiu, na e-maila, który jest na Twojej wizytówce. Koszt 1000 zł. Przykro mi, że nie odbierasz ode mnie telefonu. Zrobiłem coś złego? Przepraszam za tego van Gogha. Bardzo chciałbym zobaczyć twoje reprodukcje słoneczników”.

Ktoś zapukał do drzwi. Poszłam otworzyć.

- Proszę pani Stefanio, niech pani wejdzie – zaprosiłam ją do środka.

Sąsiadka cioci Walerki weszła jak do siebie.

- Przyniosłam ci trochę warzyw. Pan Ryszard (syna pana Jerzego) przyniósł z działki. Wiesz dziecko, ten pan Ryszard to taki porządny człowiek. Dbą o ojca, jak tylko potrafi najlepiej - sąsiadka rozgadała się na dobre. - O już czuć szczawiową – uśmiechnęła się. - A Walercia gdzie? Przy niedzieli to pewnie do kościoła poszła, prawda? - zapytała.

- Nie pani Stefanio, ciocia nie poszła do kościoła. W piątek byliśmy na jej pogrzebie – starałam się delikatnie przypomnieć ostatnie dni.

- A co ty dziecko myślisz, że ja o tym nie wiem? - Odrzekła stonowanym głosem. - Ja wszystko pamiętam, tylko po prostu chcę wierzyć, że Walercia zaraz wróci. - Co teraz z nami będzie? - wyszeptała.

Po jej policzkach płynęły łzy.

Kap jedna, kap druga.

Kap, kap, kap.

Podeszłam do pani Stefanii i ciepło ją przytuliłam.

- Pani Stefciu (zwróciłam się do niej tak, jak mówiła do niej ciocia Walerka) – nie pozwolę was skrzywdzić – zapewniałam ją, sama jednak nie do końca wiedziałam, co mam zrobić.

- Pójdę dziecko do siebie, zdrzemnę się – spojrzała na mnie z czułością.

- Dobrze pani Stefciu, później zajrzę do pani – uśmiechnęłam się jak tylko potrafiłam najcieplej, aby ukoić jej skołataną duszę.

Kiedy zamknęła drzwi powrócił natłok myśli. Norbert.

Norbert, kiedy mu w końcu powiedziałam, że ciocia zmarła, że w piątek odbył się pogrzeb, śmiertelnie się na mnie pogniewał. Inaczej, cholernie się na mnie pogniewał. Dość już śmierci i wszystkich słów mających z nią cokolwiek wspólnego. Norbert spakował swoje rzeczy i wyjechał do rodziców.

„Muszę to wszystko przemyśleć. Odezwę się za kilka dni. K.” - SMS z dzisiejszego poranka. Brak wpisu „mniem” jasno świadczył o tym, że nawaliłam. Tak, nawaliłam. Tym razem zawiodłam ja. I tu już nawet nie chodzi o ten nieszczęsny (szczęsny...)

pocałunek z Andrzejem (panem Andrzejem). Kiedy w środę wieczorem w końcu do niego zadzwoniłam, skłamałam, że u mnie wszystko w porządku. Tak lawirowałam, aby meritum rozmowy dotyczyło tylko tego, że nie wyjeżdża do Peru. Było mi tym łatwiej, iż w tym momencie nie musiałam udawać, że jestem szczęśliwa. W tym właśnie momencie ta wiadomość po prostu dodawała mi sił. Świadomość utraty cioci Walerki, a za chwilę utraty Norberta byłaby chyba ponad moje siły (rozłaka na dwa lata to przecież niemal lata świetlne, dla dwudziestoosmioletnich ludzi – jesteśmy rówieśnikami - to wieki całe...). Dlaczego zatem nie powiedziałam mu o śmierci cioci i pogrzebie. Nie wiem. Może bałam się jego spotkania z Andrzejem (panem Andrzejem). Może bałam się, że Norbert się czegoś domyśli. Przecież wiem, jaki jest (był...) zazdrosny.

Ja czasami naprawdę samą siebie nie do końca rozumiem. A cóż dopiero zrozumieć faceta. Trudno. Stało się. „Co nas nie zabije, to nas wzmocni” jak mówi stara mądrość ludowa, a ja w takie rzeczy wierzę. Wierzę i już.

(Odgłos SMS-a)

Nadawca wiadomości:

P. Andrzej Usł. pogr.

Treść wiadomości:

„Małgosiu, odbierz proszę ode mnie telefon. Proszę, muszę z Tobą porozmawiać”.

Miałam wyciszony telefon. Spojrzałam na ilość nieodebranych połączeń. Od piątku, od godziny 15.00 (o tej mniej więc porze opuściłam restaurację) do niedzieli (zerknęłam na piękny, stary zegar marki Gustav Becker, ciocia kochała antyki) do godziny 16.14 - dziesięć nieodebranych połączeń od P. Andrzeja Usł. Pogr.

- Dobra Lipska, koniec z chowaniem głowy w piasek – powiedziałam sama do siebie.
- Po pierwsze, Andrzej (pan Andrzej) wykonał dla ciebie usługę, za którą należy mu zapłacić. - Po drugie kwota, jakiej żąda za jej wykonanie jest co najmniej śmieszna – trąkotałam sama do siebie. - Ba, ona nie jest śmieszna, ona jest po prostu absolutnie nieadekwatna do usługi, jaką wykonał i Andrzej (pan Andrzej) i jego pracownicy. Dobra, koniec już z tym panowaniem. Bierz się Lipska w garść i dzwoń. Na cito!!! - Nieświadomie powtórzyłam powiedzenie Andrzeja.

- Witaj Andrzej, Małgosia z tej strony – starałam się mówić bez jakichkolwiek emocji.

- Witaj Małgosiu, cieszę się, że dzwonisz – odparł tym swoim ciepłym głosem. - Małgosiu, czy moglibyśmy się spotkać? - zapytał.

- Wiesz, chyba nawet powinniśmy. Kwota, jaką wystawiłeś na fakturze jest absolutnie nieadekwatna co do wykonanej usługi. - Andrzej, sam poczęstunek kosztował pewnie więcej. A co dopiero cała reszta – sypałam słowami jak z rękawa, starając się nie używać słów pogrzeb, pochówek itp. Ostatnie czego bym teraz chciała to znowu się poryczeć. - Ponadto bałam się jego słów... typu „Wiesz, ten pocałunek to była pomyłka. Nigdy więcej to się nie powtórzy.” Co więcej, dotarło do mnie, że ja wcale nie jestem pewna, czy aby nie chciałabym usłyszeć czegoś zupełnie

innego.

- Małgosiu – Andrzej znów sprowadził mnie ziemię – ja nie chcę rozmawiać o wysokości faktury. - Dobrze wiem, jakie to są koszta (omijał słowa pogrzeb, pochówek, Boże, co to za facet.) - Ale ja, ja, ja... się chyba w tobie zakochałem – powiedział to tak cicho, że ledwie to usłyszałam. - Tak wiem, znamy się zaledwie kilka dni, wiem, co możesz sobie o mnie teraz pomyśleć, ale uwierz mi proszę, ja pierwszy raz od niemal dwóch lat, pocałowałem kobietę.

(Całowałaś się z kobietą – przemknęło mi przez głowę, a to ogromna różnica, przemilczałam jednak ten fakt)

- Pierwszy raz od śmierci mojej żony – wyszeptał.

- Od śmierci żony? - Zamarłam.

- Tak Małgosiu, moja żona zmarła prawie dwa lata temu.

- Przykro mi – wyszeptalam najszczerzej, jak tylko umiałam. A zresztą naprawdę zrobiło mi się strasznie smutno. Ileż tej śmierci dookoła.

- Małgosiu, mogę przyjechać?- bardzo chciałbym porozmawiać – zapytał z obawą w głosie.

- Malborska 15/m 63, ostatnie, dziesiąte piętro.

-Wsiadam w auto, niedługo będę.

-Czekam.

Gdybym wtedy wiedziała, że to pierwsza i ostatnia wizyta Andrzeja na tym cholernym dziesiątym piętrze, pewnie postąpiłabym inaczej. Cóż, gdybym, gdybym, gdybym. Nie wiedziałam...

Zerknęłam w lustro.

- Boże, jak ja wyglądam? - Podkrążone od płaczu oczy, włosy bez ładu i składu, stary poszarpany dres.

Spojrzałam przez okno w niebo.

- Ciociu ratunku.

W tym momencie słońce wyszło zza chmur. A już myślałam, że zaraz lunie...

Pobiegłam do łazienki, szybko opłukałam włosy. Na porządne umycie miałam za mało czasu. Cioci grzebieniem doprowadziłam je do ładu, a do składu doprowadziła je przepiękna cioci klamra.

- Ok, jak na te warunki (brak własnych kosmetyków i brak czasu) może być.

Strój. Teraz strój. Zaczęłam szarpać walizkę, którą po telefonie ze szpitala pakowałam na wariata. Nie ubiorę przecież piżamy (jedynej czystej w miarę eleganckiej strój, jaki miałam). Było dopiero po 17. Złapałam krótkie, letnie getry i jakąś koszulkę 3/4 (zakrywającą pupę, tylko kobiety wiedzą po co robią pewne rzeczy, ale o tym może później).

Ponownie spojrzałam w lustro. No, może do perfekcji było mi daleko, ale i tak było dużo lepiej niż gorzej.

Dzwonek domofonu. Wybiegłam z łazienki, jakby co najmniej ktoś krzyknął słowo start w jakimś maratonie.

- Tak?

- To ja Małgosiu, Andrzej.

- Wejdz.

- Co robić? Wyjść na korytarz? Czy czekać w mieszkaniu? - znowu gadałam sama ze sobą – siadaj wariatko na krześle i się uspokój. Spokój Lipska, spokój.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Witaj, wejdz proszę – starałam się ukryć drżące z emocji dłonie.

- Witaj Małgosiu – Andrzej chwycił moje dłonie i pocałował obie. - Chciałem kupić kwiaty, ale nie wiedziałem, czy powinienem.

- A na tę okoliczność jakie kwiaty byś wybrał?, znawco kwiatów - spytałam, na siłę próbując być dowcipna.

- Róże, Małgosiu, czerwone róże.

- Co symbolizują? - zapytałam miło, znałam jednak odpowiedź na to pytanie.

- Miłość, cokolwiek ona znaczy – rzekł Andrzej i się zamyślił na dłuższą chwilę.

- Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty, a może nalewki z wiśni cioci Walerki?

- Wiesz, może to i dobry pomysł. Napiję się nalewki – odpowiedział. – Najwyżej wrócę taksówką, a jutro przed południem ja, albo któryś z moich pracowników podjedzie odebrać auto.

Sięgnęłam do kredensu po nalewkę i szklanki. Na butelce była naklejka: „Sierpień, roku pańskiego, P.”

- Och, ta moja ciocia – pomyślałam ciepło – tylko ona jedna znała te swoje powiedzonka. Nie, nie tylko ona. - Rozgryzłam cię ciociu (odruchowo spojrzałam w niebo), nalewka była robiona równo rok temu z wiśni, które razem zrywałyśmy w moim (naszym...) ogrodzie w Parparach. - I tu cię mam kochana, znam cię, jak własną kieszeń. Postanowiłam nie używać mówiąc, czy myśląc o cioci Walerci czasu przeszłego. Było mi lżej na duszy mówiąc i myśląc o niej w czasie teraźniejszym.

Nalałam do szklanek nalewkę, dałam dwie kostki lodu i udekorowałam plastrem pomarańczy (tak mnie nauczyła ciocia). Postawiłam szklanki na stole w kuchni i usiadłam. Po drugiej stronie siedział Andrzej. Milczeliśmy, delektując się nalewką. Środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela. Znałam tego człowieka od zaledwie pięciu dni. Znałam? To chyba za dużo powiedziane. Chyba bardziej odpowiednim słowem byłoby słowo poznawałam, a może jeszcze inaczej POZNAJĘ. Tak, poznaję, to jak najbardziej słuszna forma.

1 osoba, liczba pojedyncza, czas teraźniejszy, tryb oznajmujący, czasownik niedokonany.

Przez myśl przemknęła mi szkolna regułka.

Bo cóż ja o nim wiem? Niewiele, bardzo niewiele, a jednak kiedy tak siedzimy w tej ciocinej kuchni i milczymy, nie czuję ani skrępowania, ani tym bardziej zażenowania. Nikt z nas nie próbuje mówić, aby mówić. Przypomniały mi się słowa św. Urszuli „Milczenie jest pokojem duszy”. W tej chwili, w tej kuchni, przy tym człowieku czułam się spokojna.

Delektując się wiśniówką, każdy z nas myślami był gdzie indziej (co też w niczym absolutnie nam nie przeszkadzało). Ja byłam w Parparach na poddaszu w mojej pracowni i kończyłam portret cioci. A gdzie był Andrzej? Spojrzałam mu w oczy.

- Jestem, Małgosiu, jestem – odezwał się tym swoim anielskim głosem i spojrzał na mnie tak, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam. Poddenerwowana pani Stefania wbiegła do mieszkania. Rozejrzała się dookoła, sięgnęła do kieszeni fartucha, wyciągnęła dwie kromki chleba i położyła je na stole.

- Macie dzieci, schowajcie, tylko szybko – wyszeptała i prędko skierowała się ku drzwiom wyjściowym.

Zdążyłam tylko krzyknąć:

- Dziękujemy pani Stefanio, że o nas pani pamięta.

I już jej nie było.

- Auschwitz, Stuthoff, Majdanek?- Zapytał Andrzej.

- Majdanek od 1942 do 44, miała trzynaście lat, kiedy weszła tam armia czerwona, pamięta wszystko. Od kilku lat pamięta chyba nawet więcej, niż mogę sobie wyobrazić. - Staramy się z ciocią nie poruszać tego tematu – już nawet nie dodałam starałyśmy się.

- Musiała przeżyć piekło – odrzekł.

A mój (mój?..) Norbert kiedy pierwszy raz kilka lat temu był świadkiem podobnej sytuacji, spojrzał się na mnie z uśmiechem na ustach i zapytał, nie on raczej stwierdził:

- Wariatka!

Spojrzałyśmy wówczas z ciocią na siebie i w milczeniu zasiadłyśmy do stołu.

Ciocia podawała właśnie obiad, ale najpierw otworzyła szafkę i schowała chleb do dużej puszk. Puszka była niemal pełna.

- Pójdziemy później nakarmić łabędzie? - Spytała patrząc tylko w moją stronę – ta zima wyjątkowo daje im się we znaki.

- Z chęcią ciociu, zjemy obiad i pójdziemy.
- Ja niestety moje drogie panie, muszę jeszcze nanieść kilka poprawek w projekcie. Na szczęście wziąłem ze sobą, co trzeba - odparł rzeczowo Norbert... - Nie będę wam zatem, jeśli pozwolicie, towarzyszył.
- Odruchowo zerknęliśmy z ciocią na siebie i niemal jednocześnie odpowiedziałyśmy:
- Obowiązek rzecz święta.

I wtedy, kilka lat temu po skończeniu obiadu, poszłyśmy nad rzekę karmić łabędzie. Przez całą drogę nie odezwałyśmy się do siebie ani słowem. Nie miałam chęci, a tym bardziej odwagi tłumaczyć cioci zachowania Norberta. Co prawda ciocia do niemieckiego obozu koncentracyjnego trafiła jako trzylatka na początku 1944 r. i była tam tylko...(chyba nieodpowiednie słowo) kilka miesięcy, jednak nr na lewym przedramieniu nigdy nie pozwolił jej zapomnieć. Boże, jak bardzo było mi wtedy wstyd za Norberta. Ciocia przed wejściem do mieszkania złapała mnie delikatnie za rękę i patrząc prosto w oczy, powiedziała:

- Zastanów się jeszcze dziecko, zastanów.

Nie musiała mówić mi nic więcej. Dobrze wiedziałam nad czym miałam się wówczas zastanowić.

Gdybym wtedy wiedziała, że już wkrótce okaże się, że ta miłość jest ślepa, postąpiłabym inaczej. Gdybym, gdybym, gdybym. Nie wiedziałam...

- Pyszna nalewka, naprawdę ciocia Waleria miała do tego rękę - Andrzej pochwalił nalewkę – Ten smak i zapach wiśni, poczułem się jakbym był w... - w pamięci szukał słowa.
- Parparach – wyręczyłam go. - Taka malownicza wieś na Żuławach.
- Zawsze chciałem mieszkać na wsi – ale jak to w życiu bywa, ono pisze własne scenariusze, które nie zawsze zgadzają się z naszymi planami.
- Co masz na myśli ? - spytałam.
- Myślisz, że zakład, który mam, prowadzę na własne życzenie? - Raczej stwierdził, niż spytał. - Byłem na czwartym roku studiów, kiedy mój tata podupadł na zdrowiu. Trafił na kilka miesięcy do szpitala. Ktoś musiał zająć się firmą. Pracownicy, kredyty, zobowiązania. Nie mogłem mamy zostawić z tym wszystkim samej.

- A rodzeństwo?
- Nie mam, jestem jedynakiem.
- To tak jak ja – uśmiechnęłam się. - Jak długo już prowadzisz firmę ? (przy okazji dowiem się wreszcie ile ma lat, tak na oko trzydzieści pięć, ale zaraz się przekonamy na ile mam sprawne oko).
- Poczekaj – zastanowił się chwilę – dwanaście lat, tak to już dwanaście lat.

(Zaraz, zaraz czwarty rok studiów to mniej więcej dwadzieścia cztery dodać

dwanaście równa się trzydzieści sześć, jak dla mnie akurat. Zawsze chciałam mieć starszego faceta. Wariatka, najpierw coś zakończ a potem zaczynaj – zrugalam w myślach samą siebie)

- A tata? Tata żyje? - spytałam i zaraz ugryzłam się w język.

Przecież mieliśmy już nie mówić o śmierci. A skoro...

- Nie, tata zmarł w szpitalu po kilku miesiącach ciężkiej choroby.

- Serce?

- Nowotwór płuc. Małgosiu zmienmy temat. - Wciąż krążymy wokół śmierci, może tak dla odmiany o życiu, tym naszym doczesnym porozmawiamy?

- O właśnie, o doczesnym - przypomniał mi się ten śmieszny rachunek. - Powiedz mi proszę, ile jestem ci winna za usługi, które dla mnie wykonałeś? - Teraz ja byłam rzeczowa.

- Małgosiu przecież wysłałem ci fakturę na e-maila.

- Andrzej, proszę cię! - To , że jestem malarką, to nie znaczy, że bujam w obłokach. Dwa do dwóch umiem jeszcze dodać.

- Masz mi za złe tych artystów – wariatów. Prawda?

- Nie, no coś ty, nawet o tym teraz nie pomyślałam – uśmiechnęłam się serdecznie. - Naprawdę. Oboje jednak wiemy, usługi twojej firmy są dużo, dużo droższe.

- Ok, przyznaję, że od innych klientów biorę więcej. Dużo (zawahał się na moment), dużo więcej, ale nic na to nie poradzę, że kiedy tylko pierwszy raz usłyszałem cię przez telefon, szybciej zabiło mi serce. No, a kiedy już cię zobaczyłem, taką zagubioną, samotną, bezbronną, zapłakaną i... taką piękną, coś we mnie pękło - spojrzał mi prosto w oczy. - Miałem wtedy wrażenie, że los, Bóg, nie wiem co, ale że to nie może być przypadek, że w tym czasie i w tym miejscu się spotkaliśmy. Zostawmy zresztą już te okoliczności.

- Tak, zostawmy, śmierć na dzisiaj to temat tabu. Jeszcze nalewki? - Spytałam, widząc, że Andrzej właśnie dopija wiśniówkę cioci Walerki.

- Poproszę jeszcze tegoż specjału.

Nalałam i podałam zgodnie z zasadą cioci Walerki, plaster pomarańczy i dwie kostki lodu.

- Małgosiu, mogę zadać ci niedyskretne pytanie? - Spojrzał na mnie z nieukrywaną nieśmiałością. - Masz kogoś?

(Szczерze mówiąc czekałam na to pytanie)

– Wiesz w tych ciężkich chwilach byłaś sama, więc tak sobie pomyślałam, że...

Przerwałam tę krępującą sytuację.

- Andrzej, na tę chwilę mój związek stoi na rozdrożu - przyznałam szczerze. - Muszę sobie pewne rzeczy poukładać, przemyśleć. - A, i tak szczerze, cieszę się, że w tej chwili i w tym miejscu jesteś ze mną ty, nie Norbert.

- Rozumiem, wiesz ja nie chciałbym w czymkolwiek ci się narzucać.

- Gdybym nie chciała się z tobą spotkać, uwierz mi, nigdy nie zaprosiłabym ciebie do mieszkania cioci Walerki.

I tak ponad sześć godzin spędziliśmy przy kuchennym stole, przy nalewce z wiśni na dziesiątym piętrze w mieszkaniu cioci Walerki. Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy znali się od zawsze. Trochę o dzieciństwie, o studiach, o książkach (Andrzej uwielbiał Manna, Thomasa Manna gwoli ścisłości), o pracy, o sprawach istotnych i tych nieistotnych. Kilka razy szczerze się roześmiałam. Andrzej z takim trafionym sarkazmem opowiadał historie ze swojego życia, że pierwszy raz od lat popłakałam się ze śmiechu.

Tak, w mieszkaniu cioci Walerki, kilka dni po jej śmierci, przy jej nalewce poczułam się szczęśliwa.

Andrzej pytał mnie o plany dotyczące mieszkania. Sam sporo mi podpowiedział, jak to wszystko ogarnąć. Co więcej, zaoferował nawet pomoc w zorganizowaniu przeprowadzki. Obejrzał meble, czy można je rozebrać i potem bez problemu złożyć. Zaznaczam, że ciocia Walerka otaczała się rodzinnymi antykami. Tym bardziej zatem zależało mi na tym, aby całe i „zdrowe” przewieźć je do Parpar.

Ale co najważniejsze, Andrzej obiecał mi pomóc znaleźć kogoś odpowiedniego do zamieszkania w cioci mieszkaniu pod warunkiem zaopiekowania się panią Stefanią i panem Jerzym.

- A co to za hałasy na klatce, słyszysz? - Spojrzał na mnie tym swoim wzrokiem...

- Słyszę, może nocne zmory pani Stefanii. Wiesz, zdarza jej się czasem chodzić po klatce w nocy i mówić sama do siebie - wstałam, aby wyjrzeć na korytarz.

- Zostań – złapał mnie delikatnie za rękę. - Usiądź, ja pójdę.

Wyszedł na klatkę. Słyszałam jak rozmawiał z jakimś mężczyzną.

- Dziwne, w nocy malują klatkę - powiedział zamykając drzwi. - Tak mi powiedzieli panowie na korytarzu.

- To pewnie znowu jakaś dziwna decyzja wspólnoty blokowej. Ciocia ostatnio wspominała, że ma z tą wspólnotą problemy. Te kłopoty zaczęły się ponoć od czasu, kiedy wspólnota powołała nowego prezesa. Cham i prostak, tak określiła go ciocia. - A uwierz mi w jej ustach to niemal wyrok. Ciocia nigdy tymi słowami nie obraziłaby drugiego człowieka, gdyby naprawdę nie załazł jej za skórę.

- Ja mam na szczęście własny dom i przynajmniej nie użeram się z jakąś wspólnotą

blokową . Małgosiu dochodzi dwunasta, pójdę już. Po drugiej stronie ulicy widziałem postój. - Jutro przyślę kogoś po auto, ale wcześniej zadzwonię. - Mogę???

Odbierzesz??? - spytał.

- Odbiorę – szepnęłam i zaczerwieniłam się jak nastolatka.

Andrzej przed wyjściem ucałował moje obie dłonie i tak na mnie spojrzał, że aż poczułam motyle w brzuchu (nigdy nie lubiłam tego powiedzenia, ale hmm. może dlatego, że ja tych motyli nigdy wcześniej nie poczułam tak mocno...)

Po wyjściu Andrzeja wzięłam szybki prysznic i położyłam się spać. Kilka minut później przyszedł SMS od Andrzeja.

„Panowie mają skończyć przed drugą w nocy, zatem mam nadzieję, że się wyśpisz. Małgosiu to był precudny wieczór. Dziękuję, zadzwonię jutro. Pamiętaj, jeśli potrzebujesz pomocy, dzwoń do mnie o każdej porze. Pozdrawiam ciepło.”

„Ja również dziękuję za miły wieczór i w ogóle za wszystko. Na pewno zadzwonię. Pozdrawiam i życzę spokojnej nocy.”

W poniedziałek około 8.18 obudził mnie dźwięk SMS-a.

Nadawca wiadomości: P. Andrzej Usł. Pogr.

Treść wiadomości: „Witaj Małgosiu, życzę Ci spokojnego dnia. Pamiętaj jeśli potrzebujesz pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć. Pozdrawiam.”

- Miło – pomyślałam i uśmiechnęłam się.

Kawa z rana jak śmietana. Nastawiłam wodę, wyjęłam z kredensu mój ulubiony porcelanowy kubek do kawy, wsypałam dwie ostatnie łyżeczki. Zalałam wrzątkiem, dodałam mleko i usiadałam przy kuchennym stole w mieszkaniu cioci Walerki na dziesiątym piętrze (hm... już w moim mieszkaniu, ale ta wiadomość wcale mnie nie cieszyła). Na stole leżał cioci kalendarz. Ciocia Walerka od kiedy pamiętam, prowadziła krótkie notatki z każdego dnia. Notowała wizyty u lekarzy, w urzędach, zebrania wspólnoty blokowej. Cała ciocia. Nigdy wcześniej nie przeglądałam tych notatek, bo niby po co miałam to robić. Ciocia, kobieta w sile wieku (siedemdziesiąt dwa lata to nie jest wiek, aby umierać), nie potrzebowała, aby ktoś w czymkolwiek ją wyręczał.

Sięgnęłam do lodówki po mleko. Dolałam ostatnie krople.

- Muszę zrobić zakupy – pomyślałam – wszystko powoli się kończy.

Z pewnością będę musiała tu zostać jeszcze kilka dni. Zaczęłam przeglądać cioci notatki. Opłaty za prąd do 15., opłaty za gaz do 20., za telefon i internet do 22.

Czynsz na konto wspólnoty blokowej do pierwszego. Zerknęłam na kwotę, sześćset czterdzieści dwa złote.

- Uuu., sporo – powiedziała na głos – ciekawe dlaczego tak dużo.

Żyjąc od kilku lat na wsi rzeczywiście niewiele wiedziałam na temat wysokości opłat. Jednak Małe Miasto – jak sama nazwa wskazuje – to naprawdę małe miasto, nie wiem, trzydzieści tysięcy mieszkańców to chyba maks. Hm.. Czyżby bliskość zamku gotyckiego tak windowała ceny. Wątpię.

Moim największym problemem w Parparach były koszty związane z wywozem ścieków. Szambo było co prawda po remoncie, ale ja w przeciwieństwie do moich rodziców na wodzie nie oszczędzałam (uwielbiałam kąpiele, podobnie zresztą jak mój (mój?...) Norbert). Dom wybudowany był na początku XX wieku, ale rodzice rok po roku inwestowali w nowoczesne rozwiązania i pokój po pokoju, piętro po piętrze nabierały cywilizowanego wnętrza, zachowując jednak klimat z początku wieku. Zatem ja weszłam, można rzec, na gotowe. Owszem jakieś drobne poprawki: owe nieszczęsne schody do pracowni, no i to szambo. Póki co nie do ugryzienia, bo miejska kanalizacja jeszcze do nas nie dotarła.

Zadzwoił telefon. Spojrzałam na ekran. Sylwia, moja przyjaciółka. Odebrałam.

- Cześć.

- Cześć, jak się trzymasz? Jeszcze raz przepraszam, że nie było mnie na pogrzebie cioci Walerci i nie mogłam Cię wesprzeć – po raz kolejny przepraszała mnie za coś, czemu winną absolutnie nie była.

Na dzień przed śmiercią cioci wyleciała na tydzień do Indii, do pracy.

- Sylwia już o tym mówiłyśmy. - A Ty jeszcze w Delhi?

- Tak, wracam jutro i z lotniska jadę prosto do Ciebie, do Małego Miasta. - Będziesz tam jeszcze jutro, prawda? - spytała.

- Tak, na pewno jeszcze kilka dni tu będę.

- To buziaki i do jutra. Wszystko Ci opowiem na miejscu. - Trzymaj się kochana.

- Ty też, spokojnego lotu, do jutra.

Cała Sylwia. Wszystko w biegu. Pracuje jako doradca dla kilku biur podróży. Nie siedzi jednak za biurkiem i nie pokazuje prospektów dalekich krajów. Ona najpierw te kraje maca, węża, smakuje, poznaje, a potem sama opisuje w prospektach. Ach, te jej opisy i zdjęcia. Po przejrzaniu i przeczytaniu prospektu przygotowanego przez Sylwię, ten zza biurka właściwie nie musi mówić już nic. Boże, ile myśmy nocy przesiedziały u mnie w Parparach, ona opowiadała (ale jak!) a ja słuchałam, słuchałam, słuchałam. Miałam wrażenie, że też tam byłam.

Martwię się trochę o nią. Tyle ostatnio słyszy się o tych zamachach. Dzięki Bogu, że Tunezję sobie już odpuściła. Była tam, kiedy był ten ostatni zamach. Na całe szczęście była w innym regionie.

Jutro się zobaczymy. To była radosna wiadomość. Będzie mi rażniej uporządkować mieszkanie cioci Walerci. Jej opowieści przywiezione na świeżo z Indii z pewnością pozwolą mi choć na moment oderwać się od ostatnich wydarzeń.

- Kurcze, kawa się skończyła – muszę iść do sklepu – poinformowałam samą siebie.

Wzięłam kartkę, długopis i zanotowałam, co powinnam kupić: „Mleko, kawa, warzywa, kilka opakowań kisieli i to chyba wszystko”. Zerknęłam do spizarki.
- Ciociu, jesteś kochana – odruchowo spojrziałam w niebo.

Zapasu słoików z warzywami, owocami, dżemami, flakami, pulpetami było chyba na rok.

Gdybym wtedy wiedziała, jak prorocze były moje myśli, pewnie postąpiłabym inaczej. Cóż, gdybym, gdybym, gdybym. Nie wiedziałam...Co gorsze na to by postąpić inaczej było już po prostu za późno.

Usłyszałam pukanie w ścianę przedpokoju.

- Pewnie pani Stefania potrzebuje pomocy.

Wzięłam z wieszaka klucz do mieszkania pani Stefanii i wyszłam na korytarz.

Wyszłam i ... zamarłam. Zejście schodami na dziewiąte piętro było zamurowane.

- Jezu, co to jest? - Krzyknęłam.

Podbiegłam do windy. Na drzwiach kartka z napisem: „Winda nieczynna do odwołania.”

Zaczęłam nerwowo szarpać drzwi. Zablokowane.

- O co chodzi?! - Dobra Lipska, spokój, to musi być jakieś nieporozumienie.

Otworzyłam kluczem drzwi (ciocia nauczyła panią Stefanię, aby nigdy nie zostawiała kluczy w zamku). Staralam się opanować emocje, aby niepotrzebnie nie denerwować pani Stefanii.

- Dzień dobry pani Stefciu, pukała pani.

- Tak pukałam kochanieńka, pukałam. Gdzieś zapodziały mi się okulary i boję się bez nich ruszyć z łóżka – powiedziała głośno.

Zajrzałam pod łóżko. Są, jak zawsze zresztą. Pani Stefania tam kładła je przed zaśnięciem, a rano często o tym zapominała. Podałam jej okulary. Nałożyła.

- O, jesteś moje dziecko – uśmiechnęła się do mnie ciepło. - Napijesz się ze mną herbaty?

- Bardzo chętnie, ale troszkę później. Muszę teraz zadzwonić w kilka miejsc – starałam się mówić bardzo spokojnie. - Wpadnę na herbatę za godzinę, najpóźniej za dwie. A i proszę na razie nie wychodzić na korytarz. Panowie ze wspólnoty malują ściany i prosili, aby na czas malowania nie krzątać im się po, jak to określili „miejscu pracy” - na cito (Andrzej pomocy) szukałam jakiś kłamstw, aby tylko za bardzo nie zdenerwować pani Stefanii.

- Malują ściany? Po co? Miesiąc temu Ryszard je malował. - Pamiętam dokładnie, bo już od wielu lat Ryszard w czasie wakacji (jest nauczycielem historii) odświeżał korytarz. To akurat drogie dziecko pamiętam doskonale – powiedziała pani Stefania i tak jakoś dziwnie na mnie spojrzała.

Odniosłam wrażenie, że wyczuła, że kłamię, że coś kręcę. Zakręciłam się zatem na jednej nodze i szybko wyszłam zamykając drzwi na klucz. Na wszelki wypadek

zostawiłam je w zamku.

- Najpierw muszę to wszystko wyjaśnić i wtedy jej powiem.

Zapukałam jeszcze do pana Jerzego.

- Proszę, wejdź Małgosiu – usłyszałam przez drzwi. - Otwarte. Jestem w kuchni.

Rzeczywiście drzwi nie były zamknięte na zamek.

- Dzień dobry panie Jerzy.

- Dzień dobry – wiedziałem, że to ty, bo Stasia chodzi ciszej i wolniej - odpowiedział i uśmiechnął się.

Pan Jerzy siedział przy stole i obierał ze skórki pomidory.

- Pomidorowa dziś na obiad, może być? - spytał.

- Pan wie, panie Jerzy, że uwielbiam pana zupełnie pomidorową, a zresztą jakiej nie uwielbiam - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Wczoraj Ryszard przyniósł mi wszystko, co trzeba – dodał – także dziś moje drogie panie jemy byle co tylko we trójkę - i zgodnie z tradycją puścił mi oczko.

Byle co... Dań, jakie przygotowywał pan Jerzy nie znajdziecie w najdroższych restauracjach w Polsce, ba, na świecie chyba.

- Ja się panie Jerzy piszę na to „byle co”- uśmiechnęłam się i spokojnym krokiem powoli doszłam do drzwi. Pana Jerzego nie musiałam informować o „malowaniu klatki”, on przecież w ogóle nie wychodził z mieszkania.

- 14.30 – jak zawsze - krzyknął jeszcze z kuchni.

- 14.30 - jak zawsze.

Zamknęłam drzwi.